

WIKTOR TOMASZ GRUDZIĘ ur. 1962; Lublin



Tytuł fragmentu relacji	"Kanarki zeżarły bociana"
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin; po 1944 roku
Słowa kluczowe	opozycja, kolportaż, wolne słowo, drugi obieg, bibuła, drukarze

"Kanarki zeżarły bociana"

Kolportaż zaczął się w moim życiu z chwilą skończenia strajku w LZNS-ie - czyli chyba 22 grudnia - i spotkania znajomych ze strajku w Chatce Żaka, tak zwanego strajku w sprawie Hebdy. Mam tu na myśli Arka Kutkowskiego i Dariusza Dybciaka. Wtedy następuje trzymiesięczny okres, w którym w domu moich rodziców zaistniała drukarnia "Informatora" Regionu Środkowowschodniego. Pismo to zostało powołane do życia właściwie przez czterech ludzi: Arkadiusza Kutkowskiego, Emila Wardę, Wiesława Ruchlickiego i Krzysztofa Hariasza. Drukarnia skończyła swój byt z chwilą, gdy tych czterech panów zostało złapanych przez SB w sposób dosyć przypadkowy, internowanych bądź aresztowanych. Różnie to u nich wyglądało.

Wydarzenie to spowodowało, że czeski Cyklos został przeniesiony przez Jana Magierskiego w nieznane mi miejsce. W tej chwili mogę się tylko domyślać gdzie. Stało się tak z tego względu, że nie wiedzieliśmy, w jakich okolicznościach tych czterech panów zostało złapanych. Zaistniała możliwość, że dom jest w pod obserwacją czy w jakiś sposób zostało namierzone to środowisko. Ale potem okazało się, że nie wyglądało to tak dramatycznie, że stało się to raczej przypadkiem. I w tym momencie zaczyna ekipa składająca się z pracowników Akademii Rolniczej, na czele z panem Janem Magierskim. Wśród tych ludzi był między innymi mój brat Krzysztof Grudzię, Wanda Baj, Andrzej Pleszczyński. Innych nazwisk już nie pamiętam. Z chwilą, gdy oni to przejęli, u mnie w domu zostało tylko przygotowywanie matryc do druku. To robiła pani Baj i pan Pleszczyński. Trwało to do listopada osiemdziesiątego drugiego roku, do chwili mojego aresztowania przez SB. Przez cały ten czas była też w moim domu skrzynka kolportażowa o kryptonimie D2. Na tę skrzynkę otrzymywałem 400 do 500 egzemplarzy "Informatora" Regionu Środkowowschodniego. Potem z rozdzielnika otrzymywałem Miesięcznik "Informatora", "Solidarność" Nauczycielską, "Grot" świdnicki, Tygodnik Mazowsze i oczywiście dostawałem też książki. Czasami nawet znaczne ilości. Przychodziły transporty z Warszawy, z Krakowa, ale to już w połowie lat osiemdziesiątych. Przygodę z kolportażem skończyłem dopiero, gdy na stałe zaprowadziłem w domu drukarnię z maszynami offsetowymi. Ponieważ kolportowanie zajmowało mi zbyt dużo czasu, musiałem z nim skończyć. Nie bez przyjemności. Kolportaż był zajęciem dosyć nużącym, mało ciekawym, wymagającym pewnej systematyczności, i obowiązkowości.

W tym okresie przy rozprowadzaniu bibuły współpracowali ze mną tacy ludzie jak Tadzio

Kosiński, pan Mieczysław Woźniak, robotnik z FSC, który zmarł w latach osiemdziesiątych. (Potem poświęcono mu jeden z numerów "Informatora" pisząc, że wydała go drukarnia imienia Siwego, ponieważ on miał taki pseudonim.) Poza tym przekazywałem bibułę jeszcze Pawłowi Bryłowskiemu, Joannie Borys, a ona to rozprowadzała wśród studentów UMCS-u. Był też Andrzej Miskur, który to woził do Chełma, i częściowo gdzieś dawał na KUL. Także te 400-500 egzemplarzy spokojnie się rozprowadzało. Do naszych obowiązków należało nie tylko dostarczenie, ale również odbieranie w zamian papieru i pieniędzy. Te wszystkie wpłaty były potwierdzane z kolei pod pseudonimami w następnych edycjach "Informatora". Tym się zajmował właśnie Andrzej Pleszczyński, o którym już wspominałem. Poza tym trzeba było zbierać wszelkie materiały biurowe, które mogły się potem przydać przy druku i kolportażu, jak taśmy do maszyn do pisania, papier do pakowania, kleje, zszywki. Wiele rzeczy się przydawało i wiele było gromadzone. Najbardziej potrzebna była oczywiście farba czy taśmy do maszyn do pisania. Bo tego też brakowało. Żyliśmy przecież w świecie bezustannego deficytu. Wszystkiego brakowało i wiele było opatrzone etykietą „materiał strategiczny.” "Informator" ukazywał się 3-4 razy w miesiącu. Największą ilość, jaką dostałem, to było około 800. Ale wtedy cały nakład był podwojony ze względu na którąś z rocznic.

Wiesiek Haley i Darek Dybciak robili Biuletyn NZS-u UMCS. Wyszło jakieś dziewięć numerów, które wydrukowała ta para. To znaczy, , oni to przygotowali, redagowali, pisali matryce i tym podobne, a Jan Magierki to drukował. Do tej pory śmiejemy się z Wieśkiem, kiedy przypominamy sobie, jak on pisał te matryce, ale w ogóle nie uwzględniał marginesu. I Jan Magierski się wielce złościł, bo nie mógł tego wydrukować w jakiś sposób mający sens. Ale takimi fachowcami byliśmy po prostu w tamtych czasach. To były te początki. Potem zaczyna się produkcja książek, o której wspominałem już wcześniej, przez poszczególne koła. Przez moją skrzynkę można było sprzedać, rozprowadzić około stu czterdziestu egzemplarzy. Od osiemdziesięciu do stu czterdziestu, to w zależności czego, ponieważ niektóre tytuły były bardziej poczytne, inne mniej. No i potem zaczynał się problem finansowy, odzyskanie tego, co się włożyło. Ci, którzy wydawali, chcieli mieć przynajmniej refundowane pieniądze, które włożyli. Największą liczbę książek wziętem chyba od Arka Kutkowskiego. To było chyba dwieście egzemplarzy, które wziętem i w jakiś sposób się wywiązałem rozprowadzając je.

Kolportaż był dla mnie chlebem powszednim, a człowiek w jakiś sposób urozmaicał sobie życie uczestnicząc w różnych etapach produkcji książek. Interesowałem się różnymi technikami druku czy to powielaczem, czy potem sitodrukiem.

Czasami musiałem kogoś zastępować, czy jak ja wyjeżdżałem, to ktoś mnie zastępował. Przechodziłem i obsługiwałem inne skrzynki, D3 czy D4. D3 chyba najczęściej. Tu dochodził fakt, że ja tych ludzi nie znałem. Zaczęły się więc na przykład sygnały w oknach. Zwłaszcza pamiętam Pawła Bryłowskiego z kaktusem, ciągle go przesuwiał po oknie swojego mieszkania. Już nie pamiętam, czy miał być w lewo przesunięty, gdy można było wejść, czy w prawo. Były też hasła na wypadek, gdy się nie znało kogoś. Niektóre były afektacyjne, niektóre bardzo romantyczne, niektóre dowcipne. Wszystko zależało od tego, kto je wymyślał. Takie afektacyjne to na przykład „Zdrowie dla Spartan!” Takie bardziej realistyczne, to „Przywiozłem świeżą kiełbasę.” A humorystyczne to chyba Waldka Robaka, najzabawniejsze „Kanarki zeżarły bociana”. Odzew „Powrót do bazy żółtą drogą” . Czasami się irytowałem, jeżeli ktoś coś takiego wymyślał. Wtedy się rewanżowałem takimi odzewami gospodarzom poszczególnych skrzynek, czy jak to się wtedy nazywało, melin. Brzydka to nazwa, no ale tak to się określało w tamtych czasach.

Kolportowanie wiązało się oczywiście z pewnym ryzykiem. Zawsze pojawiało się niebezpieczeństwo przy rozszerzaniu swoich kontaktów, a kolportaż na tym przecież polegał. Aby lepiej wykonywać swój obowiązek, trzeba było więcej kolportować. Wtedy bardziej się człowiek narażał, bo im więcej miał kontaktów, tym mniej panował nad sytuacją. Można było wpaść nawet przez proste działania policyjne polegające na rewidowaniu, obserwacji w autobusach, już nie mówiąc o działaniach operacyjnych czy agenturalnych. Takich wpadek było najwięcej w kolportażu. Przykładem może być sprawa pana Wasilewskiego czy pana Bujaka, gdzie naprawdę coś się udało naszym przeciwnikom z SB. Gdy się to zdarzyło, ja nawet nie znałem ich nazwisk, ponieważ struktura "Informatora" była dosyć szczelna i miała swoje zasady konspiracyjne. Może dzięki temu przetrwała. Na przykład posługiwaliśmy się pseudonimami na przykład Rumcajs czy Pan Jabu.

Kolporterzy nie znali się między sobą. Gdy kogoś zastępowałem, bywałem w różnych mieszkaniach - a to na ulicy Kosmowskiej, a to na Kalinowszczyźnie - i do tej pory nie wiem, kto w nich mieszkał.

Czasem miewaliśmy ostrzeżenia. Tyle że to było o tyle utrudnione, że telefon nie był w tamtych czasach powszechny. U mnie na przykład go nie było, a więc do mnie trzeba było się pofatygować, żeby mnie ostrzec i żebym zadołował, jak to się ładnie nazywało, to co miałem na wierzchu, a było nielegalne. Zwykle chowałem wszystko na noc, a to do skrytki, a to gdzie indziej. Ale zdarzały się takie sytuacje akcji policyjnych, tak zwana poruta. Wtedy trzeba w jakiś sposób przycichnąć i rozejrzeć się w sytuacji, zorientować, w jakim kierunku wiedzie trop panów z SB. To był nakaz chwili i nasz obowiązek, aby podjąć natychmiastowe kroki w celu zatarcia śladów jakiegokolwiek działalności, żeby w jakiś sposób nie obciążać tych aresztowanych. Ponieważ samo to, że coś się przerwało albo że gdzieś coś się nie pojawia, było sygnałem dla naszych przeciwników, że trafili bardzo dobrze aresztując jakąś osobę. Niemniej takie sytuacje zdarzały się w Lublinie rzadko, ponieważ SB nie miało tu większych sukcesów. Nigdy nie udało im się niczego sprawnie do końca przeprowadzić, jak w innych miastach w Polsce, gdzie zdarzały się rozbicia. Nie wiem, czemu tak po macoszemu traktowali Lublin. Lublin nie był jakimś wiodącym ośrodkiem w Polsce, ale nie był też bez znaczenia. Coś się tutaj jednaj działo i udawało się zrobić na przykład ciągłość "Informatora" była niewątpliwie ewenementem na skalę kraju.

Data i miejsce nagrania	2006-09-07, Lublin
Rozmawiał/a	Wioletta Wejman
Transkrypcja	Magdalena Nowosad
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"